Chciwe mniszki

MOTTO: Dzień kary niedaleki,
grzesznice bez sumienia,
będziecie całe wieki
w piekła skwierczeć płomieniach...

KSIĄŻĘ Jaromir Rański, teść wielkopolskiego olbrzyma Włodzisława Laskonogiego, który pojął za małżonkę jego córkę Łucję, nie zdoławszy w roku 1168 ocalić od zagłady Świętowitowej Arkony, oblężonej przez wojska wojowniczego biskupa Absalona i pomorskich władców, widząc bezsilność poczwórnolicego bożycy, przy płaczu żerców — wróżów wywleczonego z kątyny, porąbanego na drwa duńskimi toporami, wyrzekł się pogaństwa, przyjął chrzest, ugiął karku pod narzucone jarzmo.

Złożył hołd zwycięskiej Danii. Stał się wiernym lennikiem króla Waldemara. Wraz z nim założył na lądzie, za toniami strzałowskiej cieśniny, miasto Strzałów. Za jego przyzwoleniem odrywał i przyłączał do swego lenna ziemie Pomorza. Wreszcie, aby przypochlebić się nowemu panu, Anno Domini 1193 ufundował pod Górskiem klasztor dla pobożnych mniszek. Uposażył go hojnymi nadaniami, toteż przybyłym na ostrów Dunkom i Niemkiniom nie brakowało ptasiego mleka. W miłym dobrobycie rychło zapomniały o surowej regule. Niczego sobie nie odmawiały. Zamiast trawić czas na modlitwach, postach, umartwianiu grzesznych ciał, tych „osiołków duszy", bezustannie ucztowały w klasztornym refektarzu, od zmroku po biały ranek przy gędźbie najętych grajków gadały lub pląsały z zamorskimi rycerzami, których przywabiła tu pieśń wędrownych rybałtów, odwiedzających zamki Zelandii, Fionii, Jutlandii:

— Porzucajcie, woje, Danię,
przepływajcie sine morze,
raj was czeka, raj na Ranie
w cudnym jako sen klasztorze,
czasze wina się tam złocą
uginają się tam stoły,
gędźba brzmi tam dniem i nocą,
woje idą w pląs z anioły...

Frater Bartlomin był przez jakiś czas spowiednikiem swawolnych cudzoziemek. Oglądał własnymi oczyma ich zbytki, a że nie dopuszczały go do udziału w szumnych biesiadach, na chudym wikcie trzymając żarłoka, wielkim zapałał gniewem.

— Kto na tym świecie rajskich zażywa rozkoszy — grzmiał surowo na penitentki, ukradkiem przełykając natrętną ślinkę — na tamtym w ognistym piekle pokutować będzie! Odmieńcie tedy, grzesznice, póki pora niecny tryb żywota! Dzielcie się z bliźnimi swymi dostatkami, którymi niebiosa raczyły was obdarzyć!

Głos jego wszakże był głosem wołającym na puszczy. Zbytnice zatykały uszy. Nie słuchały mnicha, podobnie jak udawały, że nie słyszą szlochów służebnic z Rany, usługujących im, chłostanych w ciemnicy na kłodzie za lada przewinienie, kornych próśb ratajów, pastuchów, bartników, uciskanych we włościach konwentu, jęku głodnych nędzarzy, odpędzanych korbaczami od furty bez najmniejszej jałmużny. Wielu ich było, na białej bowiem wyspie panoszył się głód. Śledzie, stanowiące niegdyś jej srebrną skarbnicę, odpłynęły po zburzeniu arkońskiej świątyni na urwistym cyplu Witawa ku brzegom Skonii. Nieurodzaj, posuchy na przemian z długimi deszczami, pomory na bydło trapiły Ranów. Książęta Wisław i Barnuta, objąwszy rządy po zmarłym w roku 1212 ojcu Jaromirze, nic nie mogli na te klęski poradzić. A złe mniszki?

Mało je powszechny niedostatek obchodził. Żyły jak pączki w maśle. Kiedy zabrakło im na uczty złota — sprzedawały strzałowianom Jaromirowy dzwon z klasztornej wieży. Wtenczas to mistrz Carnificiusz otrzepał rański pył z cysterskich postołów.

Siadł na nawę. Odpłynął szukać lepszej doli w duńskim królestwie. Ale o grzechach tych, co same folgując każdej zachciance, jemu kazały srogo pościć, nie zapomniał. Skoro tylko przy fryzyjskim wraku Bracia Krwawej Wróżdy znaleźli ugrzęzły w piachu dzwon, postanowił ukarać chciwe zakonnice.

Król morza wysłuchał jego planu. Załadowano kołat na „Hedwigę z morza". Wzięto kurs na Ranę. Rzucono kotwicę w zacisznej zatoce. Klimek „Świnie Ucho" i ślepy Wszemir, wysłani na zwiady, potwierdzili opowieść grubego mnicha. Źle się działo na wyspie. Zrozpaczeni kniężyce pili po karczmach na umór. Tłukli się i mordowali w pijackim zamroczeniu. Żebraków kołaczących do zamożystej furty konwentu niecne klasztornice psami szczuć kazały. Pryza w gniewie półskorzniem tupnął o pokład:

— Diabelskie nasienie! Należy się im, fratrze, nauczka!

Wozem, w rogate woły zaprzężonym, powieziono zdobyczny dzwon pod Górsk. Wojk, jako bogaty żeglarz, ofiarował go „miłym" panienkom prosząc w zamian o modły. Zawieszono spiżowy dar na wieży, nikt go jednak nie mógł rozkołysać. Przeto fundator ofiarował na dzwonnika jednego ze swych ludzi — osiłka Drywę. On to, zatargawszy kiedyś powrozem, wpadł do refektarza krzycząc wniebogłosy:

— Diabeł w dzwonnicy! Czart na dzwonie się huśta!

Przybiegły zaciekawione mniszki. Mały, czarny bies kołysał się na dzwonowej belce. Palcami grał na nosie. Wrzeszczał szyderczo:

— Dzień kary niedaleki,
będziecie całe wieki
grzesznice bez sumienia,
w piekła gorzeć płomieniach.

Przejęte śmiertelnym lękiem „córy grzechu" zakasały habity i uciekły, gdzie pieprz rośnie, żegnane jękiem piekielnego kołata. Opuszczony klasztor rozpadł się wkrótce w gruzy, a mały bies, gdy tylko wrócił na okręt i zmył sadze z twarzy, usłyszał z ust rozpromienionego fratra Bartlomina, który serdecznie ucałował go w oba policzki:

— Od dziś, mój ty „Świnie Ucho" będziesz się zwał „Klimkiem od Dzwonu"!

FRANCISZEK FENIKOWSKI

PIGUŁKI ze starej apteki

Zbójca z Tucholskiego Boru

MOTTO: „Dziwna jest sprawa na tym świecie taka:
Pan pana, żebrak nie lubi żebraka.
A słowikowie zgodliwie śpiewają
I srodzy wilcy pospołu chadzają".

(Daniel Bratkowski, „Rzecz dziwna")

OGROMNE bory na Pomorskim Pojezierzu porastające sandry tutejszej równiny, upodobała sobie legenda. Wysokopienne sosny nad Brdą i Czarną Wodą, siwe buki, czarne dęby odymione mgłami bijącymi z leśnych torfowisk, troskliwie chronione przez polskich królów cisy nad jeziorem Mukrz szumią od wieków o krzyżackich kohortach, które w roku 1309 zagarnęły warowną Tucholę, zdradzieckich Świętach, sławnym partyzancie z czasów „Potopu" — młynarzu Michałku, przemarszach wojsk „Małego Kaprala", powstańcach z okresu „Wiosny Ludów", żołnierzach Września, leśnych chłopcach, zwiadowcach z desantowych grup. Dziś cofnijmy się do lat Konfederacji Barskiej. Marszałkiem jej w Prusach Królewskich został 16 sierpnia 1769 roku Michał Władysław Lniski, pomorski podwojewodzi, który w dwa miesiące później pojmany został we własnym domu i osadzony w toruńskim areszcie. Zastępował go w polu godny kawaler, regimentarz Fabian Gordon dowódca pomorskiej dywizji.

„Ta pruska konfederacja w ludziach dobranych, w moderunkach, koniach i liczbie równała się konfederacji wielkopolskiej (...) i choć zawsze przegrała, przecież w porządnej rejteradzie i nie bez uszkodzenia nieprzyjaciela" — wspomina ówczesny pamiętnikarz.

Ale bywali na Pomorzu i inni „konfederaci". Do takich należał Onufry Bęklewski, starosta lachowicki. Marszałek brzeskolitewski, człek „śmiałej prezencji", lecz pieniacz i warchoł. Skłóciwszy się z Generalnością, odniósłszy kilka porażek, wraz ze swą „dywizją", liczącą kilkuset ludzi, opuścił rodzinne strony. Od spotkań z przeciwnikiem „jak najpilniej stronił", natomiast wszędzie wybierał arcygorliwie od ludności podatki i kontrybucje. Zewsząd płynęły skargi na jego rozboje. Dowództwo nakazało więc grasanta schwytać i jak rabusia bez pardonu stracić. Śmiał się imć pan Onufry z tego rozkazu. Do czasu. W pewien letni dzień, gdy beztrosko popasał z gar'ką strojnie odzianych kommilitonów w zacisznym mieście Tucholi, pojmał go rotmistrz kujawski Kazimierz Rutkowski z partii Jakuba Ostoi Ul jskiego.

— Mam cię, zbójco z Tucholskiego Boru — zawołał i kazał grabieżcę wyprowadzić na plac, gdzie miał być rozstrzelany.

Ulitowali się nad skazanym zacni mieszczanie. Miejscowy burmistrz jegomość Płaza, obywatel nad wyraz poczciwy, przedkładał panu Kazimierzowi, że nie godzi się człowiekowi przelewać krwi bratniej, skoro w tucholskich ostępach „Słowikowie zgodliwie śpiewają i srodzy wilcy pospołu chadzają". Takimi to słowy zdołał wyjednać u rotmistrza uwolnienie lachowickiego starosty. Płazem uszły mu złe uczynki. Puszczono go wolno pod tym wszakże warunkiem, się z Prus Królewskich na zawsze wyniesie. Bęklewski kondycje zaprzysiągł uroczyście, rad że cało sprzed wymierzonych luf uniósł głowę. Słuszna jednak ozała się maksyma:

— Od rzej żmiję, potem cię ukąsi!

Nie minęły dwie niedziele, a niepoprawny grzesznik zjawił się niespodziewanie w tejże Tucholi, napadł nieboraka Rutkowskiego, który (żołnierzy swych wyprawiwszy) samotnie stał na kwaterze, schwytał dobroczyńcę, wrzasnął czerwony z pasji:

— Rozstrzelać hultaja, co na nnie porwać się ważył.

Na próżno litościwy burmistrz za rotmistrzem gorąco się wstawiał, ba, u nóg się marszałkowych włóczył. Kat Onufry, zgoła i kapłana z ostatnią pociechą do rotmistrza nie dopuściwszy, głuchy na wszelkie błagania, nakazał wyrok natychmiast wykonać. Dobry uczynek został przykładnie ukarany. Huknęła salwa. Echo jej rozeszło się po kraju. Wiarołomcy zaczęło być w Rzeczypospolitej ciasno. Uciekł w Lubelskie. Po roku znów powrócił na Pomorze.

Pre ująca podówczas w Poznaniu Izba Konsyliarska wyprawiła przeciw krzywoprzysięzcy oddziały Morawskiego i Skórzewskiego. Zamknął się przed nimi w murach Chojnic, niełatwych do zdobycia bez armat i piechoty, na farnej wieży straż wystawił. Ta zameldowała mu w mglisty ranek jesienny, że z pobliskiego lasu wychodzi czerwono umundurowana infanteria, wiodąca z sobą działa. Wtedy oblężony warchoł... zgłosił ak es do konfederacji. Bramę Człuchowską otworzył, serdecznie powitał przybyszy, razem z nimi nad Wartę ruszył.

— A gdzież te wasze armaty? — zagadnął po drodze. — Gdzie piechurzy wasi?

Pokazano mu porzucone pod borem kłody na półwozach — „fałszywe działa" i „szarficza z piką", wziętego przed kilku tygodniami przez Morawskiego w niewolę w Człodzieży. Przygryzł wąsa i zamilkł. Dopiero w Poznaniu mowę odzyskał. Gęsto tłumaczył się przed marszałkiem Malczewskim wyliczając ofiary, jakie „pro patria" położył. Powabna jejmość Onufrowa, którą starosta z sobą woził, rzewnymi łzami dokonała reszty. Po raz wtóry uszło sobiepankowi, gorszemu od przysłowiowych „zbójców z Tucholskiego Boru", na sucho. Pozwolono mu z podkomendnymi, bronią, moderunkiem wrócić na Litwę.

I dopiero tam „przyszła kryska na Matyska". Rozgromiony przez wojska „najjaśniejszej gwarantki", 2 lutego 1772 roku dostał się „w plen". Zesłano go na Sybir, gdzie podobno po latach „z nędzy i frasunku" umarł.

FRANCISZEK FENIKOWSKI

POGUŁKI ze starej apteki

Gra w szachy

MOTTO: „... Tą tablicą piękną
Ten, co przegra ma wziąć w łeb aż się kości zlękną".
(B. Paprocki, „Gniazdo cnoty")

GĘSTA mgła spadła na Bałtyk. „Hedwiga z Pomorza" wolno płynęła przez białe opary. Bazuna dął w trąbitę ku przestrodze rybakom, którzy mogli się znaleźć na drodze okrętu. Czatownik Okunk w skórzanej czapce, w samodziałowej opończy stał na dziobnicy i wypatrywał czerwone oczy. Z ich powodu przezwano tego oliwiaka, przesiedlonego przez ojców cystersów nad pucką Trzęsinę, by tam dla nich łowił ryby, właśnie okunkiem.

— Rybitwie Piotrowi — opowiadano na Swarzewskiej Kępie — wpadł do Zatoki klucz od rajskiej furty. Żadna z ryb nie kwapiła się pomóc kluczykowi. Jeno okunk jął penetrować po dnie, odnalazł zgubę i zwrócił ją stroskanemu furtianowi. Wszelako tak się przy szukaniu zmordował, że mu ślepia krwią zaszły.

Walitk odznaczał się podobną poczciwością, toteż wartował pilnie, aby z przyczyny jego nieuwagi żaden człek nie ucierpiał. W końcu jednak ćma zapanowała taka, że trzeba było zwinąć żagiel i rzucić kotwicę. Żeglarze jak cienie snuli się po zamglonym pokładzie.

— Do diabła — klął Sulistr Part. — Wolałbym czarta spotkać niźli tę przeklętą tamczę!

— Zagrałbym w szachy — tłukł się po kasztelu osowiały Pryza — ale z kim? — spojrzał na mnicha, nie smakującego w szachowej grze. — Nie ma tu kupca Czarnoty... Ech, zagrałbym chociażby z samym biesem!

— Nie wzywajcie tego imienia — przeżegnał się frater Bartlomin i pragnąc rozerwać Wojka zaczął opowiadać o pewnej królewnie duńskiej, która książętom ubiegającym się o jej rękę kazała walczyć o nią „drewnianymi woyskami" na szachownicy, wszakże kiedy wyrok losu miał zapaść nie po jej myśli, nocą poprzestawiała figurki.

„Król Morza" nie słuchał opowieści. Siadł na koi i ukrył twarz w dłoniach. Z odrętwienia wyrwał go dopiero nagły trzask. Jakieś czółno uderzyło o dziób korabia. Poszło na dno. Dwóch rozbitków po kotwicznej linie wspięło się na burtę. Byli — jak oświadczył pierwszy z nich — podwójnymi rozbitkami, bo poprzednio zatonęła nawa, z której uratowali się w kruchym czółnie.

— Zwę się doktor Trystis — skłonił się potem, gdy doprowadzono go przed Pryzę. — Ze sługą mym Porcusem płynąłem do Rzymu, gdzie na Lateranie Innocenty III wielki zwołuje sobór. Z Polski pięciu biskupów się nań wybiera. Zapragnąłem i ja obaczyć „Włodcę świata", co upokorzył butne cesarstwo.

Wojk obiecał przybyszowi, że odstawi go do Kamienia lub Uznamia, gdzie zapewne znajdzie statek odpływający na zachód. Gościnnie zaprosił doktora do stołu, nalał mu wina do kubka, wypytywał o nowiny. Było ich pod dostatkiem. Uczony gadał o małej Salomei, córce Leszka Białego, osadzonej wraz z węgierskim królewiczem na halickim tronie, o Janie bez Ziemi, który w doverskim klasztorze templariuszy przyjął z rąk rzymskiego legata koronę Anglii i uznał się hołdownikiem Apostolskiej Stolicy...

— Toczy się na świecie wielka gra o władzę — rzucił wzrokiem ku leżącej na stole szachownicy. — Może i my zagramy?

— O władzę? Mam ją wśród mej wiernej gromady — odrzekł Pryza. — O złoto? Nie kusi mnie.

— Grać można o różne rzeczy — uśmiechał się nieznajomy. — O rękę damy, własny cień, szczęście, bez którego życie nic nie warte. O zapomnienie nękających duszę trosk...

Żeglarz począł się wahać, lecz w tej chwili mistrz Carnificius, od dawna podejrzliwie zerkający na rozbitka, pochylił się do ucha wodza Braci Krwawej Wróżdy i coś mu podszepnął. Pryza popatrzył w czarne oczy kusiciela.

— Zapomnienie trosk tylko pani Śmierć nam przynieść może — powiedział cicho. — Bertołd, siostrzan Karola Wielkiego, od razu wszelkich pozbył się zmartwień, kiedy mu krewniak Rajnold roztrzaskał czaszkę złotą szachownicą. Umówmy się przeto, że ten z nas, który wygra, z całej siły da drugiemu w łeb szachową tablicą!

Źrenice Trystisa roziskrzyły się gniewem.

— Dobrze — warknął po krótkim namyśle.

Ustawiono figurki. Zbiegli się zaciekawieni żeglarze. Otoczyli kołem graczy. Bacznie śledzili ich posunięcia. Walka toczyła się zacięta. Doktor z początku pewny był wygranej, wkrótce jednak świadkowie ujrzeli, że na czoło występują mu krople potu, połyskujące w świetle tranowego kaganka. Coś mu przeszkadzało. Mieszał się, płonił krwawymi rumieńcami, odgarniał za uszy długie włosy krucze. Wojk spokojnie grał prawą ręką. Lewą wsunął za pazuchę żeglarskiego kaftana. Ściskał darowany mu przez Estrydę relikwiarzyk z prochami z Grobu Świętego.

— Mat! — oznajmił wreszcie, podniósł się zza stołu, ujął szachownicę. — Przegrałeś, łowco dusz!

— Głupi Kaszubo! — syknął mściwie Trystis. — Wygrałeś dzięki talizmanowi! Pożałujesz tej wygranej! Ominie cię to, czegoś pragnął najbardziej.

Porcus skoczył zasłonić swego pana. Tablica zawisła nad ich głowami, nim jednak na nie spadła — obaj rozlali się na podłodze kajuty w plamę cuchnącej smoły.

— Niech pochwalone będą niebiosa — westchnął nabożnie frater Bartlomin. — Utarłeś, królu, Smantkowi nosa!

FRANCISZEK FENIKOWSKI

POWIEŚĆ ZE STAREJ DANII

Na skałach Ertholmene

MOTTO: Gdy król Wojk miodu podnosił stągiew —
lub się pod jego zbiegał chorągiew,
gdy się pojawiał w czerwieni łuny
jak wiatr po morzu pierzchały Duny,
wżdy na gród pognał Waldemarowy,
dudnią w Szlezwiku złote podkowy,
w zamku biesiada, Wojk za stół siada,
za nim złym cieniem czai się zdrada,
okuto Pryzę, w kaźń go wtrącono,
ciężką niedolę cierpi tam pono...
O, królu Wojku, źle ci się wiedzie,
wszakże masz druhów, poznasz ich w biedzie!

BRACIA Krwawej Wróżdy nie zamierzali porzucić Wojka, kiedy spotkała go niedola. Nie mogli mu jednak w pierwszych chwilach nic pomóc. Nocą, kiedy z pokładu „Hedwigi" patrzeli w rozjarzone okna zamku, cwałem nadjechał do przystani giermek Henryk Bork, trzymając na łęku siodła swą siostrę Pietrusię, bladą jak płótno, drżącą, zapłakaną.

— Stawiajcie żagle — krzyknął do Miłorada Bazuny. — Co tchu wyjdźcie w morze, jeśli nie chcecie zawisnąć na cierpiędze u miejskiej bramy. Nie ma chwili do stracenia! Zguba nad waszymi głowy!

— Na sieć rybitwa Pietra, co się stało — podniósł się ze zwoju lin mistrz Carnificius.

— Przysyła nas królewna Ingarda — oznajmiła z szlochem dworka Pietrusia. — Rycerza Wojka na zamku podczas koronacyjnej uczty pojmano i wtrącono do więzienia!

— Zdrada! — krzyknął Klimek trzymający na ramieniu palestyńską małpkę.

— Hańba — dyszał młody Bork. — Grabia ze Skwierzyny w gniewie opuścił biesiadną salę. — Pani Estryda z Havsgaardu omdlała, kiedy wiernego druha księcia Kazimierza pętano rybacką siecią. Arcybiskup Lundu jako trup zsiniał. Waleczny krzyżowiec w kajdanach! Oto zachęta królewska dla tych, co mają z Waldemarem na estońską ruszyć krucjatę!

— Uchodźcie, żeglarze — błagalnie składała dłonie kołobrzeska kasztelanówna. — Moja pani zaklina was na rany Chrysta, byście nie zwlekając przecięli cumy, podnieśli kotwę i uszli z portu Szlezwiku, nim po was katowska przybleży czeladź!

Posłuchali dobrej rady. Klnąc króla Danii wbisowali żagiel, pożeglowali w noc.

— Trzymaj ster na skały Ertholmene — krzyknął do Wallika Okunka frater Bartłomin. — Za mało nas, byśmy siłą odbili naszego Króla Mórz. Musimy spotkać się z Sulistrem Partem. Kto wie ile żeglując na „Królewskim Poborcy", pobrał na morzu naw duńskim, lubeckim, fryzyjskim kupcom, gdyśmy wojowali za Słupami Herkulesa? Ilu przyjął do bractwa nowych ochotników? Pospołu z nimi napadniemy na to przeklęte miasto, otworzymy dźwierze ciemnicy panoszy Pryzie!

Szczęśliwie przepłynęli długą gardziel Szlei. Przebyli tonie beltu dzielącego Wębrzę od Lolandii. Minęli kredowe skały przylądka Klint, u wschodnich krańców wyspy Moen, niegdyś siedziby pana Oluła Nyksa, niemiłosiernego łupieżcy rozbitków. Potem pojawił się im we mgłach bornholmski kap Hammaren, zwiastujący załodze „Hedwigi z Pomorza", że cel pławby już blisko.

— Zadmij, Miłoradzie, w bazunę — zawołał Klimek ujrzawszy granitowe złomy ertholmeńskich szkierów. — Niechaj dowiedzą się Sulistrowi okrętnicy, że morskie ptaki wracają do skalnego gniazda.

Jęk długiej trąby poniósł się ku wysepkom płosząc mewy i morswiny, ale na wybrzeżu pojawił się tylko ślepy Wszemir z kilkoma ludźmi. Jeden z nich wspierał się na szczudle. Drugi miał przewiązane czoło. Trzeci trzymał rękę na temblaku. W ogrodzonej palami i łańcuchami przystani nie kotwiczyła ni jedna koga. Dwa jeno czółna czerniały wyciągnięte na płaski brzeg.

— Mór, nie daj Bóg, was nawiedził! — przeżegnał się mistrz Carnificius schodząc po trapie na ląd. — Gdzie „Królewski Poborca"? Gdzie Part?

— W piekle — warknął kulawy Dobk, Sulistrowy sternik. — Czarci pono leją chciwcowi w gardziel roztopione złoto!

— W Hellpil pod Wejdawutowym Dębem, gdy spodziewał się dostać za znalezioną w pruskiej zagrodzie krzemienną siekierkę, którą — jak igał w żywe oczy, miały pogany utrupić praskiego biskupa, książę Świętopełk kij mu pokazał sękaty — mruknął czatownik ze „Świętego Mikłosza" Paszko Ząbek.

— Tedy — podjął Jarost Sum, cieśla ze Strzałowa, należący do załogi „Królewskiego Poborcy" — opętał go bies — gniewnik. Z dwiema swymi nawy odpłynął ze Świeżego Zalewu ku Gotlandii. Chciał zajrzeć do skrzyń kupcom z Gockiego Brzegu, co na miejskiej wadze w Wisby centnarami złoto ważą!

— Któż nie słyszał, że w tym grodzie mieszczany grają w kości o drogocenne klejnoty, niewiasty na złotych przędą wrzecionach, świnie ze srebrnych jadają koryt — gruby mnich siadł na jednym z głazów kamiennego kręgu. — Part z dawna namawiał pana Wojka, by zbrojno naszedł wisbian. Ale Pryza mu rzekł: „Dola kołem się toczy, bacz by cię nim nie połamano!"

— Dobrze mu wywróżył — Wszemir siadł na kamieniu obok Mięsopieka. — Gotlandczycy rozgromili naszych. Wielu zginęło. Inszych pojmano. Sulistra kat kołem połamał. Ciało jego gnije na kole za murami u kamiennej szubienicy, na której towarzysze jego zawiśli. Siedmiu jeno wyłamawszy kraty w noc przed kaźnią zdołało ujść w rybackim czółnie do tej ostoi.

— Wielkie nieba — jęknął Okunk. — Dotknął nas palec Boży. Krom jednej „Hedwigi" nie ma już floty Braci Krwawej Wróżdy! Jakże teraz wybawim pana Wojka z duńskiego więzienia? Ma zemrzeć w głodzie, chłodzie, opuszczony przez wszystkich?

— Siła masz przyjaciół, kiedy ci się wiedzie, przecie prawych druhów poznasz jeno w biedzie — ozwał się po namyśle mistrz Carnificius. — Nie porzucimy naszego króla. Gdzie siłą nie da się nic zdziałać innej trza szukać drogi.

— Jakiej? — podniósł oczy Bazuna.

— Pójdziemy w pątniczych szatach przez Danię — ciągnął Bartłomin. — Ja, Wszemir, Klimek. Będziemy pokazywać małpkę z Akonu jako saraceńskiego diabła. Powiadać, co się stało. Niechaj dowie się lud, że jego władca, wbrew boskim i ludzkim prawom, boć przecie Ojciec Święty ogłaszając „Treuga Dei" przykazał, iżby wielcy i mali, wzajem sobie krzywdy przebaczywszy, puścili w niepamięć dawne waśnie, więzi najmężniejszego z krzyżowych rycerzy.

— Niechaj rozniesie się po ziemiach duńskiego królestwa wieść o haniebnym uczynku Waldemara! — krzyknęli żeglarze zrywając się z głazów kamiennego kręgu.

FRANCISZEK FENIKOWSKI

PIGUŁKI ZE Starej apteki

Sobieski i tabacznicy

Motto: „Je tacie zole nieoszacowane,
na całym świecie wszetcim ledzom znone,
pewnie każdy z was ju wie.
To je tobaczka, co je każdy chwali,
niejeden mówi: niech se dóm zawali,
je tobaczkę muszę miec!"

(kaszubska piosenka ludowa)

O owym nieoszacowanym zielu można by napisać kilka sążnistych tomów. W Wielkopolsce uważano, że tabakę (w przeciwieństwie do tytoniu — daru diabła) przyniósł z niebios starym ludziom na pociechę sam Klucznik Piotr. Dlatego też uspokaja ona namiętności, rozjaśnia umysły, raduje skołatane serca. Dobrze miał to w pamięci — jak widzimy w „Panu Tadeuszu" — litewski kwestarz Robak i we właściwy sposób korzystał ze swej tabakiery. Mądrość naszego ludu — przysłowia — pouczają: „Nie każdy nos tabakę lubi", „Tabakierka bez tabaki głowie bez mózgu się równa", „Nie stoi za funt tabaki"... Na Rzeszowszczyźnie krążą o tabace ucieszne anegdoty. Krasicki zastanawiał się „Czy nos dla tabacznicy, czy ona dla nosa"? Zdaniem Chotomskiego zażywał tabaczki już stary Eneasz powierzając pięknej Dydonie smutne dzieje swojej tułaczki. „Kichającą" tabaką częstował dworaków błazen Augusta III, Józef. Tabakierki rozdawał na prawo i lewo król Staś. Przepadały za tabaką wszystkie stany — od monarchów do chłopstwa. Czyż bowiem nie żaliły się ubogie Warmiaczki:

„Jużem wysprzedała obie drogie jupy,
ostatnią spódnicę wyniosłam z chałupy,
wszystko dla tej tabaki!"

Nie mijał się z prawdą Jędrzej Kitowicz wspominając w „Opisie obyczajów": „Jeden tylko chleb nie wychodzi z mody i podobno, jak nastał na świecie, zawsze jest jednakowy (...) Tabaka za mojej pamięci była najprzód prosta, z tytoniu w donicy wierconego robiona, do której dla tęgości owi wezwyczajeni chlipacze, którzy wolei obejść się bez chleba niż bez tabaki, przydawali popiołu ze skórek łoziny albo z grochowin palonego, aby im w nosie lepiej wierciła; potem nastała rapa..." itd. itp. Krótko mówiąc roiło się w dawnej Polsce od tabaczników, nigdzie jednak nie znalazłbyś, czytelniku, bardziej zapamiętałych niż na naszych Kaszubach.

— Chceme le sę zażee — było tutaj jedym z najczęstszych powiedzień. Zapewniano, że „chłop, co nie tabaczy, nic nie znaczy". W przeciwieństwie do Wielkopolan wierzono, że tajemnicę uprawy owej „kaszubskiej róży" podstępem wydarła diabłu Purtkowi pewna chytra Kaszubka. Zażywali na potęgę rybacy podczas połowów, gburzy w karczmach, księża na kazalnicach i w konfesjonałach. (Na Swarzewskiej Kępie był taki spowiednik — chlipacz, do którego jak w dym ciągnęli wielcy grzesznicy, udawało się im bowiem szybko wyznać najcięższe grzechy w chwili, kiedy kichał jak z kartauny). Powszechnym szacunkiem cieszyli się liczni niegdyś mistrzowie rożkarskiego kunsztu, wyrabiający ze spreparowanych rogów krowich piękne tabakiery, prawdziwe cuda rogowe. Nikogo nie dziwił tu następujący dialog:

— Tatk, czemu krowa ma rogi?

— Żebe twój tatk miał z czego robić rożki do tabaki!

Kachel i mieloch do ucierania „diabelściego ziela" należały w kaszubskich wsiach do artykułów pierwszej potrzeby. Tak się w końcu „zatabaczyła" wyobraźnia „strażników naszych morskich granic", że nawet ukochanego króla Sobka, tego co to „po łbach bił pogana", wróciwszy zaś znad Dunaju ofiarował podobno kartuskiemu konwentowi cenne kurdybany, którymi ojcowie kartuzi obili wnętrze kościoła nad Klasztornym Jeziorem, przedstawiali sobie jako tabacznika pierwszej wody. Sobieski, Wiedeń, Kaszubi — te trzy słowa od dawna łączą się nierozdzielnie. „Po odsieczy Wiednia — pisze Majkowski — (...) Kaszubi przywiedli dużo koni tureckich z wyprawy, które rasę rodzimą polepszyły". Jarosz Derdowski w „Kaszebe pod Widnem" z dumą opowiada o przybyciu swych współbraci pod Kraków, gdzie zbierało się pospolite ruszenie:

„W dniach czilku beło tesęcy trzedzesce
Wojska polsczego w krakusowym mniesce,
Tej jesz z swym pułczieni Denhof sę przełączo,
Co w kożdyj wojnie pomoc daje rączą;
Ten wojewodą beł pomorszcij zemni.
Cygła z nim szlachta i Mniemce najemni".

Sienkiewicz za sprawą Bernarda Chrzanowskiego wprowadził do nieukończonej powieści „Na polu chwały" taki fragment:

„...najokazalej przedstawiał się regiment kaszubski w błękitnych koletach z żółtymi ładownicami, złożony z tęgich, na schwał chłopów, rosłych i tak dobranych, że jeden wydawał się być drugiemu bratem; ciężkie muszkiety poruszały się w ich potężnych dłoniach jak trzciny. Na głos piszczałki stanęli przed królem jak jeden mąż i sprezentowali broń tak sprawnie, że król uśmiechnął się z zadowoleniem, a dygnitarze poczęli do się mówić: „Ej! z tymi to i gwardii sułtańskiej nie zdrowo się będzie spotykać! Lwy to prawdziwe, nie ludzie".

Żaden wszakże z wymienionych pisarzy nie podaje oryginalnego zakończenia powyższej sceny. Zakończenie, jakie zachowała nam jedna z nadmorskich sag. Oto najjaśniejszy pan, uśmiechnąwszy się na widok kaszubskiego pułku Denhofa, wyciągnął podobno złota tabakierę, aby zażyć szczyptę wonnego proszku. Wtedy załamały się karne szeregi. Monarchę obstąpili stolemi z Pomorza wyciągając olbrzymie dłonie.

— Cóż to, mospanowie? — podniósł brwi Sobieski.

— U nas, na Kaszebach, miłościwy panie — wyjaśnił Kuba Pliński, gromowy rybak z Chłapowa — jest w zwyczaju, że kiedy jeden chłop wyjmuje rożek, tedy wszetcy tabacznicy doń przystępują.

Zaśmiał się serdecznie król Sobek i bez ceregieli rozczęstował zawartość wspaniałej tabakiery między dzielnych żołnierzy.

FRANCISZEK FENIKOWSKI

PIGUŁKI ze starej apteki

Pani jeziora

MOTTO: „...natrafiamy (...) na otoczone lasem, owiane legendami jezioro Ciche (niegdyś Kamionka). Widoczna po jego wschodniej stronie leśna droga prowadzi do odległego o około 7 km Goręczyna, w XVIII w. stolicy kasztelanii. Minąwszy jeziorko widzimy przy dróżce skręcającej w lewo tablicę informującą o istnieniu tu rezerwatu. Jest to rezerwat leśny Zamkowa Góra, stanowisko okazałych około 200-letnich buków (...). Na południowym cyplu tego wzniesienia o ostro opadających zboczach znajduje się interesujący zabytek w postaci wczesnośredniowiecznego grodziska z VI — VIII w. W tym obronnym z natury miejscu stał niegdyś gród, po którym pozostały jedynie szczątki wału zbudowanego z ziemi i polnych głazów oraz ślad po zbiorniku na wodę w północno-zachodniej części majdanu grodowego."

(F. Mamuszka, I. Trojanowska, „W krainie kaszubskich jezior").

TAK, to właśnie tu, na Zamkowej Górze, nad obramowanym mrocznymi świerkami i siwymi bukami, których listowie październik rozpłomienia królewską purpurą, srebrnym zwierciadłem Kamionka — rezydowała przed wiekami pani jeziora, Kaszubka Cieszka, młoda wdowa o gorącym sercu. Lubiła cieszyć się życiem. I rok nie minął od dnia, w którym zwłoki jej męża, bednego Niestęp spopieliły się na stosie, a już gród począł rozbrzmiewać złotym gwarem biesiad, płoszącym wodne i leśne ptactwo.

— Rychło się gospodza Cieszka pocieszyła — ściągnął brwi rybacki starost Kożyczek patrząc na strojnych gości przybywających tłumnie leśną drogą. — Nie sposób ryb nastarczyć dla tych darmozjadów!

— Dzień i noc trzaby łowić — przytakiwali staremu rybitwowie Czecz, Smołda, Prok z wysiłkiem ciągnący wielki niewód.

Tylko najmłodszy z nich, płowowłosy Kiełp, milczał. Od dawna miłował skrycie piękną panią jeziora. Gotów był dla niej pracować bez chwili wytchnienia. Nieraz, gdy odnosił ryby na gród, udawało mu się ujrzeć tę, o której śnił po nocach. Kiedyś i ona zwróciła na niego spojrzenie. Od tej chwili wszystko się zmieniło. Podkowy przestały dudnić po gościńcu. Ucichła warowna góra. Ustały huczne biesiady. Urodziwa wdowa pokochała młodego rybitwę. Łodzią pływała z nim po świetlistych toniach, nuciła mu w gwiezdne noce:

— Nie chciałabym być gospodzą,
nie chciałabym być podwiką,
wodnym chciałabym być ptakiem,
chciałabym być kaczką dziką,
latałabym ja za tobą
tam, gdzie płynie twoje czółno —
na wschód słońca, w blask zachodu,
na południe i na północ...

Kiełp nie wierzył własnemu szczęściu. Obawiał się, że prędzej czy później pryśnie jak tęczowa bańka mydlana.

— Niech gród mój ziemia pochłonie, niech nie zaznam spokoju po kres świata, jeśli bym ciebie wyrzec się miała, miły mój — zaklinała się na Swaroga, Welesa, Pośwista, by uciszyć te obawy.

Przysięgała chyba szczerze, ale... trzymać białkę za słowo, a rybę za ogon — to na jedno wychodzi. W jesienny zmierzch zadął w róg przed grodzką bramą konny woj o rysach twarzy śmiałych, posępnych. Jechał od morza. O nocleg prosił. Nie odmówiono mu gościny. Dobrze snadź poczuł się nad Kamionkiem, bo minął miesiąc, drugi i trzeci a Kobuz — jak go tu dla kobuzich lic zaczęto nazywać — ani myślał ruszać w dalszą drogę. Zapomniała Cieszka o młodym rybaku. Przybysz zajął jego miejsce. Jeździł z nią na łów w zimową knieję, odwiedzał w jej towarzystwie sąsiadów, gości zapraszał. Znów brzękały czasze w modrzewiowej świetlicy. Znów głośna gędźba niosła się nad cichymi toniami jeziora. Znowu pachołkowie płomienistymi żagwiami przyświecali w śnieżycy pod zjeżdżającym ku grodowi saniom.

— Wesele się gotuje — mamrotał sędziwy Kożyczek podczas połowów. Nim nowego doczekamy lata — przywłoka Kobuz włodyką naszym się stanie.

Trafił w sedno. Gody wyznaczono na dzień krzesu. Kiełp, dowiedziawszy się o tym, ledwie nie oszalał z rozpaczy. Błąkał się nad struga w wąskiej dolinie u podnóża Zamkowej Góry. Czołem bił o omszałe pnie drzew. Dłonie w pięści zaciskał. Pod koniec weselnej nocy minął nie strzeżone dziś wierzeje, do świetlicy się wdarł, pełnej gości pląsających przy wtórze grajków.

— Cieszko — zawołał półprzytomnie.

— Nauczę cię, smardzie, czci dla gospodzy! — Kobuz w twarz uderzył rybitwę i skinął na pijanych pachołków, by wyrzucili natręta.

— Bodaj się, zła gospodzo, słowa twe spełniły — zawołał ciśnięty za bramę. — Swarogu, Welesie, Poświście słyszeliście jej przysięgę! Złamała ją! Za nic ma mnie, lecz i was, o bożyce!

Błyskawica rozdarła parne powietrze. Potoczył się grzmot. Rozpętała się gwałtowna nawałnica. Kiedy ustała — nie było już grodu na Zamkowej Górze. W mgłach dymiącego Kamionka przemknął cień Kobuza o łyskliwych ślepiach. Dostrzegł go starosta Kożyczek. Dłoń do ucha przyłożył, by złowić przenikliwy, cichnący krzyk ptasi. Odleciał nieproszony gość.

A pani jeziora? Pozostała tu. Co wiek jawi się na tajemniczych toniach jako... dzika kaczka. Przed kilkudziesięciu laty ujrzał ją podobno kaszubski otrok, samotnie rybaczący na Kamionku. Poruszyło go żałosne spojrzenie ciemno-brunatnych oczu strudzonego ptaka. Podjął go z wody do czółna. Za wiosła chwycił. Wiosłował co sił, łódź jednak posuwała się coraz wolniej. Wydało mu się, że jakiś ogromny ciężar ciągnie ją w głębię. Zatrząsł się ze strachu. Porwał kaczkę za skrzydło, rzucił w siwe mgły, skłębione nad spokojną taflą wodną.

— Cóżeś uczynił — doszedł go z oparów ludzki, żalem nabrzmiały głos. — Jeszcze trzy uderzenia wioseł, a byłabym wybawiona!

Przejęty wrócił do chaczy, opowiedział, co mu się przydarzyło i w ten sposób odżyła w ludzkiej pamięci klechda Cichego Jeziora.

FRANCISZEK FENIKOWSKI

PIGUŁKI ZE Starej apteki

Jarzębiny

MOTTO: „Wzgórza redłowskie są w dolnej części ku południowi i ku morzu zalesione; są tam ciekawe krzewy; rośnie rzadka jarzębina szwedzka, dlatego część lasu uznana została za rezerwat (...) Wzgórza te w czasach przedhistorycznych miały ważne znaczenie. Słowianie lubili takie uroczyska z dalekimi widokami; oddawali na nich cześć swoim bogom. Stała tu świątynia, a przy niej cmentarzysko; znane są w nauce znalezione tutaj (...) urny tak zwane twarzowe. Było tu prawdopodobnie, ze względu na obronne położenie, także i grodzisko.

U stóp wzgórzy, przy ujściu jednego z jarów, znalazła niedawno kąpiąca się dziewczynka w piasku na przybrzeżu toporek kamienny, uszkodzony, lecz przez fale i piasek prześlicznie wygładzony, wyglądający jak nowy. Pękł on zapewne w walce z najeźdźcami, którzy tam lądowali, aby zdobyć grodziszcze."

(B. Chrzanowski, „Wybrzeże", 1934)

Patrząc z plaży Brzeźna czy Jelitkowa na brzeg Gdańskiego Wiku, spostrzega się od razu, że najwspanialszym z przylądków nad nim spiętrzonych są lesiste urwiska Redłowskiej Kępy. Ongi ten cypel nad Pyteaszowym „Morzem Królewskim" (Ba-Altis) a ściślej — nad wspominaną przez aleksandryjczyka Ptolemeusza Wenedzką Zatoką (Sinus Venedicus), zwaną w późniejszych czasach Zatoką Słowiańską, nosił miano: Promotorium Venedicum.

Tutaj na szczycie Kacewskiego Haku, podobnie jak na wielu innych cyplach naszego kontynentu, miała się wznosić kątyna boskiego włodyki morza — Gostka. Dokoła niej w beczkach, na drągach wysokich płonęła nocami smoła na znak dla zbłąkanych sterników. W mrocznym wnętrzu chramu, przed poczerniałym klocem bożyca, palono białodymny jantar. U krokwi kupcy wykupieni z niewoli przybijali swe kajdany. Okrętnicy Bałtyku, miotającego na wybrzeża cenny bursztyn, usianego mglistymi wyspami, które roiły się od potworów — srogich wojownic — matek psiogłowców, dziwacznych plemion, konionogów, jajojadów, ludożerców, wielkouchów, jednooków, co walczyli z gryfami o złoto — wieszali wotywne stateczki z miedzianego, srebrnego czy złotego kruszcu.

— Zwinąć żagiel! Rzucać kotwy — wołali żeglarze podpłynąwszy pod święte urwisko. — Trzeba wróżby zasięgnąć nam przed pławbą.

Redłowskim Wądołem wspinali się na zbocze niosąc bogate dary Gostkowym widunkom, te zaś — urodziwe i rumiane jak jarzębiny — wróżyły przybyszom z sita, wody, popiołu, czy nie grożą im w dalekiej wyprawie cisza, burza, morscy zbóje; czy obdarzy ich bałtycki bożyc zyskiem i szczęśliwym powrotem. Przepowiednie te zawsze się sprawdzały, tedy warowna kątyna, nad którą śnieżnie trzepotały chmury mew, zasłynęła szeroko. W czasie pokoju zawijali tu nawet cudzoziemcy.

Kiedyś przypłynął wraz z nimi młody Sygurd, syn króla Ottara z boskiego rodu Ynglingów, władających Szwecją ze Starej Uppsali, kędy opodal Gaju Odyna i kamiennej Studni Losu zieleniały kopce Królewskich Mogił. Na smoczych łbach — dziobach korabi, przybyłych zza morza, siedziały kruki. Okrągłe tarcze wisiały nad czerwonymi żaglami oznajmiając, iż morzopławnicy parają się kupiectwem, nie rozbojem. Wioślarze wyciągnęli wiosła. Ruszyli z udałym królewicem do świątyni.

— Jarzębina! — krzyknął w zachwycie ujrzawszy pierwszą z wróżek Krasną, wiotką zarumienioną Pomorzankę ze srebrnymi kabłączkami u skroni.

Rozmiłował się w niej od pierwszego spojrzenia. I ona nie pozostała obojętna na jego junacką urodę. Nie ważyła się jednak sprzeciwiać woli bogów, którzy uczynili ją wieszczką, nie chciała porzucać kątyny ni miłej ojczyzny. Sygurd smutny wrócił do ojcowego królestwa. Nie mógł zapomnieć o widunce z jasnego Przylądka Wenedów. Zachorzał z tęsknoty.

Przeleżał zimę, kiedy w śnieżycach jednooki Odyn, bóg powieszonych, cwałował na ośmionogim rumaku nad uppsalskim dworzyszczem. Przeleżał wiosnę i lato. Majaczył w gorączce o jarzębinie roniącej koralowe jagody. Tej, co rośnie nad zdrojem, z którego czerpano objawienia. Tej, co służyła za kile statkom, chroniąc żeglarzy przed złymi duchami morza. Tej, której gałąź ocaliła od utopienia gromowładnego Thora, gdy podczas przeprawy przez rzekę porwał go gwałtowny nurt...

Strapieni Wikingowie zajrzeli do Studni Losu. Ujrzeli, że woda w niej poczerwieniała.

— Krew — zawołali chórem. — Krew uleczy naszego królewica! Zabierzemy go na krwawą wyprawę! Ku słowiańskim brzegom!

Zepchnęli na fiord długie okręty. Kruki wskazywały im drogę. Na rogatych szłomach jarzyły się grona szwedzkich jarząbów, przynoszących szczęście.

— Twoją będzie Krasna — pocieszali chorego junaka. — Ona — twoją, a naszymi jej druhny-jarzębinki! Niechaj nas w Odynowym Gaju na drzewach obwieszą i włóczniami przebiją, jeśliby inaczej stać się miało!

Wczesną jesienią dobili pod Hak. Pewni zwycięstwa wdarli się na urwisko. Wszakże tam czekał ich zawód. Krasna i kątynne strażniczki chwyciły topory wyciosane z kamienia. Podjęły nierówną walkę z wojami w niedźwiedzich skórach. Krew pomorska zmieszała się ze szwedzką. W zaciętym boju wyginęły widunki, wyginęli uppsalscy bersekierzy. Opustoszały przybytek podmyły i pochłonęły fale Wenedzkiej Zatoki. Z przelanej zaś posoki wyrosły na Kępie pierwsze w naszym kraju szwedzkie jarząby, które każdej jesieni płoną w nadmorskim słońcu kroplami zakrzepłej krwi.

Taką sagę przez długie lata zawodziły w wichrach trzy czerwone sosny — kaszubskie płaczki — łamiące ramiona konarów na krawędzi Kacewskiego Haku, wtórując żałosnym skwirom zaklętych w mewy duchom śmiałych obrończyń żeglarskiej kątyny na Wysokim Redłowie. Ten poszum, krwawe jarzębiny i krzemienna siekierka, zaleziona dawno przed wojną przez Hankę Chrzanowską, córkę „odkrywcy naszego Wybrzeża", to wszystko, co pozostało po Krasnej i jej wieszczkach z Gostkowej świątnicy.

Pigułka ze Starej Apteki

Wielkanocna kąpiel

W Jastry, czyli w pomorską Wielkanoc, osobliwe wielce rzeczy działy się na naszym Pobrzeżu. Mądrzy Kaszubi zrywali się przed brzaskiem, wybiegali w pola, wypatrywali baranka skaczącego we wschodzącym słońcu albo też skoku samego słońca wierząc, że przyniesie im to bogactwo i szczęście. Źródełko w słowińskim Bukowie zaczynało o wielkanocnej północy bić nie — jak zazwyczaj — cierpką wodą ale najsmakowitszym winem, którego każdy mógł się napić do woli „za darmaka". Weseli lajkowie w Jastrowy Poniedziałek chodzili po wsiach przepędzając rymami z checz panieńskie pchły. Niemal wszędzie zaś uprawiano z zapałem kult wody. Pędzono do Jastrowych Wód konie i bydlęta, by zabezpieczyć żywy dobytek przed chorobami. Kąpali się odważni parobcy. Dziewczęta myły się pilnie, aby uniknąć latem słonecznej opalenizny lub też pozbyć się... piegów.

Nie ma jednak reguły bez wyjątków. Trafiali się osobnicy, którzy od chłodnej wody wiosennej stronili jak czarci od kropielnic. Palmę pierwszeństwa miał pośród tych brudasów dzierżyć przed laty Krzywy Marcin, syn wdowy po fromborskim gormistrzu rybackim Sumku. Biedna matka Marta miała z tym „lontrusem" niemało kłopotów. Wąs się mu już sypał, a do żadnej roboty chłopisko się nie kwapiło. Nawet myć mu się nie chciało. Próżno błagała go Sumkowa, aby chociaż „raz około Wielkanocy" zajrzał do miejskiej łaźni. Wyglądał też okropnie. Czupryna jego nie znała grzebienia, gębę miał pryszczatą, szyję czarną jak smoła, żałobę za paznokciami. Głupiec, zgnilc, leń stał się niebawem pośmiewiskiem biskupiego miasteczka. Nie przejmował się tym.

— Mądrzy ludzie żyją w brudzie — zadzierał nosa. — Kto się umywa, tego ubywa! Stroń, człecze, od wody, nie przyjdziesz do szkody!

Zrozpaczona „nenka" zwróciła się w końcu o pomoc do kumotra Biskupa, podstarościego fromborskiego, który słynął jako głowacz nad głowacze. Ten przyrzekł wyleczyć Marcina i zaszedł w wieczór Palmowej Niedzieli do domu Sumków przy Wodnej Wieży. Popijając grzane piwo rozwiódł się szeroko o warzonym w Tolkmicku piwsku zwanym „Burczykotem", chwalił jego niezwykłe działanie.

— Onego czasu — prawił ocierając wąsy z piwnej piany — zjawił się w Wiślanym Zalewie olbrzymi węgorz. Srodze nękał tolkmiczan, ryby im z sieci wyżerał, barkasy na toniach przewracał. Ukuli tedy wielki łańcuch. Zawiesili go w porcie, aby uwięzić potwora. I z pewnością tak by uczynili, tylko że pojmać złoczyńcy nie mogli. Natenczas postanowili ująć sobie prześladowcę podarkiem! Kupili w browarze sporą kufę tolkmickiego „Burczykota", zatoczyli ją na brzegu, odbili pokrywę. W nocy węgorzysko z wody wylazło, wychłeptało „zacny" trunek do ostatniej kropelki i pękło z hukiem tak strasznym że burmistrz, pleban, rajcy, pan Starosta, ławnicy, garncarze z łóżek pospadali. Ho, ho! Tolkmiczanie to mądre głowy! Im do głów by nie przyszło drwić z waszego Marcinka, miła kumo.

Młody Sumek siedząc za piecem brudnych uszu ciekawie nastawiał. Korciło go od tej pory, by poznać sąsiedni gród. Wreszcie przezwyciężywszy lenistwo wybrał się tam pod koniec Wielkiego Tygodnia. Gapił się na starą farę, ratusz, starościński zameczek, garncarskie kramy, rozpytywał o port i ów łańcuch wykuty dla łapczywego żarłoka. Mieszczanie mierzyli go złymi spojrzeniami. Ten i ów uczęstował gamonia tęgim szturchańcem, skąpiąc mu innej odpowiedzi. Ostatecznie napatoczył się Marcin na grubego piwowara Antałka.

— Powiedz mi, waćpan — zagadnął go na rogu ulicy — gdzie jest to łańcuszysko, co miało stać się okowami dla wielkiego węgorza, gdyby się nie rozpękł po waszym „Burczykocie"?

Grubas poczerwieniał, lecz szybko się opanował. Mrugnął na stojących opodal znajomków Mateusza i Tymoteusza.

— Ciekawość pierwszy stopień do wiedzy — rzekł basem. — zaraz, miły gościu, wszystkiego się dowiesz.

We trzech zaprowadzili fromborskiego zgnilca do przystani, rybackimi linami wychłostali go tak mocno, że na plecach powyskakiwały mu „czerwone węgorze", a potem z rozmachem wrzucili nieboraka do Zalewu. Skąpał się po czarną szyję w zimnej jak lód wodzie. Mokry, zbolały dźwigając krwawe węgorzyska na barkach powlókł się Marcinek do Fromborka wijącą się przez las krętą drogą, zwaną po dziś dzień „Długim Węgorzem".

— Byłeś, synku, w łaźni — ucieszyła się Sumkowa na jego widok. — Sam poszedłeś?

— Tolkmiczanie po niewoli łaźnię mu sprawili — uśmiechnął się pod wąsem kum Biskupek. — Zapomniałem ostrzec waszą pociechę, że w Tolkmicku każdego, kto ośmieli się zapytać o portowy łańcuch, fatalnego potwora czy „Burczykota" bez ochyby wykąpią w przystani. Ale nie martw się, Marcinku, swą przygodą. Wielkanocna kąpiel nikomu jeszcze nie zaszkodziła! Pryszcze z gęby ci znikną, zdrów będziesz na ciele i... na umyśle.

FRA[redacted]ŻEK FENIKOWSKI

PIGUŁKI ZE STAREJ APTEKI

Drzewinka

MOTTO: Idzie kaszubskim gościńcem
Bajka o gdańskiej Drzewince,
idzie przez wieś, las, pustkowie,
warto posłuchać, co powie.

SOBIESŁAW, gdański wielkorządca, żonaty z obodrzycką księżniczką ze sławnego rodu Niekłóta, miał — prócz synów Sambora i Mszczuja — wiotką, białą, wdzięczną niczym brzoza córę, której imię zaginęło bezpowrotnie. Kaszubska bajka zapamiętała jedynie jej przydomek: Drzewinka. Czasy, w jakich przypadło jej żyć, były niespokojne. W Polsce synowie Krzywoustego toczyli zacięte walki o stołeczny Kraków, za co przyszło płacić również Pomorzu. W pamiętnym roku 1157 kaszubscy woje wspomagali księcia Kędzierzawego, który starł się z cesarzem Biedrzychem Rudobrodym. Powiódł ich wtenczas pod Poznań Sobiesławowy ojciec, dziewierz mazowieckiego wojewody Żyry, potomka Wojsława — piastuna tego Piastowica, co kraj swój niebacznie na dzielnice przed skonem rozdzielił. Teraz Mieszko Stary żądał od Sobiesława posiłków przeciw najmłodszemu z braci — Kazimierzowi.

— Lepszy słomiany pokój od złotej wojny — użymał się pan na Gdańsku, i jak mógł wymawiał się od udziału w domowych zamieszkach.

Nieraz wszakże dudniły podkowy koni posłów po dylach gdańskiego mostu, a kopijnik dął w róg przed bramą samborzą grodu, oblanego szerokimi wodami Wisły, Motławy, Białej Strugi, Siedlicy. Nieraz do późnej nocy książę radził z wielmożami w grodzkiej świetlicy. Dumna zaś księżna, marząc o królewskim małżonku dla swej jedynaczki, biesiadowała chętnie, udzielała łaskawie posłuchań żeglarzom zamorskich królów, jeździła na łowy. Dla dzieci niewiele pozostawało jej czasu. Popatrzała niekiedy jak Samborek z Mściwojkiem pod okiem wychowawcy ścierają się na drewniane miecze, albo jak córa ze starą piastunką, rybiooką Neczką, idzie na przechadzkę ku przystani. I tyle. Pewna była, że jej śmiałych zamysłów nic poplątać nie zdoła. Tymczasem — snując swoje marzenia w księżycową noc świętojańską — usłyszała, że ktoś pod grodem uderza w struny gęśli. Wychyliła się z okna gornicy. Na srebrnej toni, w łodzi chybotliwej czerniał smukły cień. Nieznajomy człek grał i nucił księżniczce uśmiechającej się doń z wieży:

— Srebrzy się brzezina,
zielenią się iwy,
siwa gąska, siwa
po Wisełce pływa
i w dziobie mi niesie
księżniczki mej pierścień...
O, moja jedyna,
jakżem dziś szczęśliwy!

Porwała się księżna, jakby ją rozpalonym żelazem napiętnowano. Wezwała straże. Nakazała pojmać śmiałka, który się poważył sięgać po jej córę. Wybiegli w noc z żagwiami, lecz śpiewaka nie schwytali. Przepadł jak kamień w wodę. Sobiesławowa, półprzytomna w gniewie, poleciała ochłostać za brak dozoru rybiooką piastunkę. Rozkaz wykonano na dziedzińcu wczesnym rankiem, nim książe dźwignął się z łożnicy. Z zaciśniętych ust staruchy nie wydarł się jęk skargi czy bólu. To rozzłościło jej panią do reszty. Sina z wściekłości legła na posłaniu. Zażądała od książęcego medyka nasennego napoju. Zapadła w głęboki sen. Sądziła, że odzyska spokój przed rozmową z małżonkiem i jedynaczką, straszne jednak okazało się jej przebudzenie. Piastunki ni księżniczki nie było w grodzie! Nikt nie umiał powiedzieć w jaki sposób wydostały się za bramę, most, podgrodzie.

— Stara czarownica uprowadziła z zemsty naszą pociechę — orzekł zgnębiony Sobiesław, po czym — kiedy poszukiwania wojów, komorników, młodego Sambora z Mszczujem, przebiegających konno z sulicami w garściach pomorskie gościńce, nie dały wyniku — ogłosił że ten, kto odnajdzie książęcą jedynaczkę, może zażądać od władcy wszystkiego czego jeno zapragnie.

Wielu miało oskomę na taką nagrodę, lecz pewnie szukano by księżniczki Sobiesławówny po dziś dzień, gdyby nie książęcy rybitwa Ręgosz, wnuk sędziwego Głodka z Głodkowa. On to właśnie był tym gądkiem, który gędził w księżycową noc pod grodem, zyskawszy uprzednio podczas spotkań w gdańskiej przystani wzajemność córy księcia. Nie trzeba mówić, jak bardzo cierpiał, gdy doszła do jego uszu wieść, że śliczna dzieweczka zaginęła. Szukał jej rozpaczliwie, jednak tylko przypadkiem udało mu się rozwiązać tajemnicę tego zaginięcia. Łowił na Leniwce, opodal jeziora Zaspa, i w sieć wpadł mu wodnik Neczk. Trawił on żywot na dnie rzeki, jezior, a w chwilach kapryśnych „neków" machał błoniastymi łapami, wywoływał wodne wiry, wciągał lekkomyślnych ludzi na dno. Złowiony, wybałuszył rybie ślepia, ludzkim odezwał się głosem:

— Daruj mi, rybaku, życie —
odwdzięczę ci się sowicie!

— Targ w targ — układ stanął. Neczk, który — jak wyszło na jaw — wysłał swą ciotkę Neczkę na dwór Sobiesława, by wiedzieć, co się tam dzieje, poradził Ręboszowi aby popłynął na północny brzeg Zaspy i ściął rosnącą tam, na uroczysku Brzeźna, młodą brzozę. Rybak wypuścił wodnika z sieci. Rady posłuchał. Pożaglował w noc sobótkową na wskazaną polanę. Siekierą jął rąbać białokory pień, srebrzący się w miesięcznej smudze. Gdy ostrze topora dotarło do rdzenia — z naciosu niespodziewanie wyskoczyła gdańska księżniczka.

— Drzewinko moja — krzyknął chwytając ją w ramiona.

Została jego żoną, Sobiesław bowiem, mimo rozpaczy butnej małżonki, nie chciał cofnąć obietnicy. Obiecał, że ów, kto odszuka jego córę, może odeń żądać wszystkiego, czego zapragnie, a czego pragnął nasz rybitwa, jeśli nie ręki Sobiesławówny. Pod jesień, po żniwach urządzono tedy na gdańskim grodzie wspaniałe weselisko, wyposażono pannę młodą rozległymi dobrami, odziedziczonymi później przez jej potomków. Rozrodzili się oni licznie i dziś jeszcze podobno mieszkają wokół kaszubskiego Ręboszewa, między toniami Wielkiego a Małego Brodna, pod legendarną górą Sobótką.